

The book cover features a stylized illustration of a woman with long, wavy, vibrant pink hair. She is shown from the chest up, looking slightly to the right with a subtle, enigmatic expression. Her skin is a pale, warm tone, and she has dark, well-defined eyebrows and dark lips. She is wearing a dark, possibly black, garment. The background is a dark, almost black, forest scene with several vertical tree trunks. The trunks are rendered in a light, textured grey, with some showing a cracked, bark-like surface. The overall mood is mysterious and atmospheric.

Karolina Niwczyk

CZARNY KAPTUREK

beyA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Adrian Matuszkiewicz

Redakcja: Anna Kandzior-Zug

Korekta: Dominika Dziarmaga

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/czaka>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-1168-0

Copyright © Karolina Niwczyk 2025

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



Rozdział 1.

Pobudka w lesie

~~Każdy chce mieć dokąd uciec.~~

Co za banał. Choć czy to właśnie nie banały są tak często najprawdziwszymi zdaniem, jakie przyszło nam wypowiedzieć lub usłyszeć?

Naumyślnie przekreśliłam pierwsze zdanie mojej powieści grubą kreśką, ale jestem pewna, że mimo to je odczytaliście.

To, co będzie się działo dalej, zdecydowanie nie jest przeznaczone dla zdroworozsądkowców, zatem drzyjcie, miłośnicy logiki.

Dlaczego? Bo będziecie musieli uwierzyć w moc własnej wyobraźni.

Nie wiem, jak wy, ale ja prowadziłam dotychczas dwa życia.

Jedno z nich dzieje się nadal, w chwili gdy piszę te słowa. Jest bardziej skomplikowane, brutalniejsze, dłuższe.

Drugie toczyłam do niedawna dopiero po zaśnięciu. Było odskocznią od pierwszego. Ale jego już nie ma. I nie ma też żadnych innych snów, które miewa każdy, gdy zamknie powieki i przyłoży głowę do poduszki.

Teraz mam tylko jeden sen, który ciągnie się na jawie niemalże w nieskończoność. Bo dopiero śmierć kończy wszystko.

Wzdrygnęłam się, poczuwszy chłód, jakby ktoś nieoczekiwanie ściągnął ze mnie kołdrę. Zdegustowana do granic możliwości otworzyłam oczy i... zeszytniałam. Bynajmniej nie z zimna.

Przecież nie dalej jak przed sekundą byłam w łóżku, w wynajmowanym na czas studiów pokoju.

Tymczasem teraz leżałam na leśnej ściółce, a wokół mnie zamiast nocnych ciemności roztaczał się blask słońca.

– Co do cho... – zaczęłam i zerwałam się na równe nogi, przestraszona swoim odkryciem.

– Czy ja śnię? – zapytałam samą siebie i spojrzałam na swoje ręce i stopy: wyglądały normalnie. Ubrana byłam w stary szary dres, w którym uwielbiałam spać. Wszystko poza otoczeniem zdawało mi się takie jak przed zamknięciem oczu.

– To tylko sen – stwierdziłam głośno, by przekonać samą siebie. Tylko czemu leśna ściółka tak uwierała mnie w podeszwy stóp i musiałam mrużyć oczy, by nie oślepnąć od patrzenia na słońce? Czemu drzewa wokół widziałam tak wyraźnie? Z reguły moje sny były zamazane, nieprecyzyjne, no i co najważniejsze: zawsze *coś* się w nich działo.

Ta ostatnia myśl przysłała mi do głowy w złą godzinę, bo nagle usłyszałam tętent kopyt. Ktoś się zbliżał!

Odwrociłam się w stronę, skąd zdawały się dochodzić coraz głośniejsze dźwięki. Nie zawiodłam się: zza drzew wyłonił się jeździec w czarnej pelerynie, siedzący na karym koniu, którego grzywa, falując lekko podczas jazdy, rozpyływała się na boki, jakby składała się z mgły. Nie dane było mi przyjrzeć się bliżej, ponieważ musiałam szybko uskoczyć w bok, aby nie zostać stratowana.

– Hej! – Zdążyłam tylko krzyknąć, zanim zaliczyłam kolejne bliskie spotkanie z leśnym podłożem.

Jeździec zatrzymał się gwałtownie.

Oj. Chyba nie o to mi chodziło. Poczułam, jak ze strachu serce gwałtownie mi przyspiesza, ale nie zdecydowałam się na ucieczkę. Przecież to tylko sen, prawda? Nic mi nie grozi, więc dlaczego miałabym tchórzyc? Niepewnie się podniosłam, otrzepałam swoje spodnie z igliwia, a w tym czasie przybysz zsiadł z konia i ku mojemu zaskoczeniu wyciągnął zza siebie... miecz!

– Kim jesteś?! – ryknął donośnym barytonem. – Jak śmiesz stawać na mojej drodze?!

Przeraziłam się, ale zignorowałam to ciut za bardzo realistyczne uczucie strachu, objawiające się ciarkami na całej skórze, i dumnie uniosłam głowę, aby powiedzieć:

– Jestem Kia... Kiara! I nie mam po... pojęcia, jak się tutaj znalazłam, ale z pewnością moim zamiarem nie było przeszkadzać panu w podróży.

Mój głos zdradzał zdenerwowanie i ujawniał mą bezbronność, ale to nie skłoniło nieznajomego do opuszczenia broni. W międzyczasie mu się przyjrzałam. Wyglądał, jakby wyskoczył ze średniowiecznego filmu o rycerzach i królach: miał brodę, długie ciemne włosy oraz twarz poraną bruzdami, z pewnością pozostałymi po jakiejś walce. Co ja takiego oglądałam przed zaśnięciem, żeby teraz śniły mi się takie głupoty?! Mężczyzna po chwili namysłu schował miecz i narzucił na głowę kaptur, który skrył jego groźne oblicze.

– Pójdiesz ze mną – stwierdził i odszedł w stronę swojego konia, jakby nie przyjmował do wiadomości, że niekoniecznie muszę za nim podążyć.

Niestety nie było już we mnie w obecnej chwili ani grama odwagi, więc potulnie dałam się nieznajomemu wsadzić na konia. I już za chwilę, trzymając się mocno jeźdźca, modliłam się, by nie umrzeć od jego smrodu lub nie spaść, kiedy w oszalałymi szybko tempie mknęliśmy przez las.

– Dokąd jedziemy?! – krzyknęłam w ucho mężczyzny, ale on nie kwapił się do udzielenia mi odpowiedzi. Jasny gwint, w co ja się wpakowałam?

Zerknęłam na konia i już bez większego zdziwienia zobaczyłam, że jego grzywa nie przypominała mgły, a w istocie nią była. Skoro to nie jawa, czemu miałabym być zaskoczona? Miewałam dziwniejsze koszmary.

Nieoczekiwanie wyjechaliśmy z lasu na polaną, zupełnie strawioną przez pożar, a gdzieś tam nadal tlił się ogień. Tu i ówdzie kręciło się kilku wyglądających na wieśniaków mężczyzn, dogaszających pogorzelsko.

Zsiedliśmy z konia, a mój towarzysz zapytał jednego z nieznajomych:

– Gdzie pan?

– W namiocie, o tam – odparł przerażony człowiek i drżącą ręką wskazał skraj polany, gdzie w istocie rozstawiono... hm... „namiot” to chyba za mało powiedziane. Był to niemalże pałac! Mimo zachwyty, jaki wzbudziło we mnie owo arcydzieło krawiectwa, nie uszło mojej uwadze, jak zapytany wieśniak spuścił potulnie głowę i cicho dodał:

– Jest bardzo zły dzisiaj.

Te słowa nie wróżyły niczego dobrego, ale mój towarzysz zdawał się nie zwracać na to szczególnej uwagi, śmiało skierował swe kroki we wskazanym

kierunku. Z kolei ja nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić. Stałam w miejscu i rozglądając się naokoło, spostrzegłam, że zgromadzeni tu ludzie ukradkiem mi się przyglądają. W ich oczach malował się strach, ale też zdziwienie? Obawa? Nie potrafiłam nazwać tego uczucia jednoznacznie, co wprawiło mnie w lekką konsternację. Z rozmyślań wyrwał mnie znany mi już głos:

– Za mną, natychmiast! – zagrzemiał mężczyzna w pelerynie, a echo jego słów rozniosło się po całej polanie. Pochyliłam głowę i posłusznie dogoniłam człowieka, który, jak podpowiadało mi przecucie, wiódł mnie właśnie do klatki lwa, niczym jagnię na pożarcie.

Im bliżej byliśmy naszego celu, tym wyraźniej dochodziły do mnie hałasy, których źródło skrywał pałaco-namiat. Coś podobnego do odgłosu tłuczonego szkła oraz trzasku łamanego drewna. Mój przewodnik zdawał się tym zupełnie nie przejmować, bez uprzedzenia wszedł do środka, rozchyliwszy pewnym ruchem skrywające wejście połę ozdobnego materiału.

W pierwszej chwili moje spojrzenie padło na połamane drewniane krzesła, walające się po dywanie razem z połyskującymi odłamkami butelek i podartymi tkaninami, ale to nie ten widok zaparł mi dech w piersiach. Pośrodku tego pobojuwiska w rozkroku stał mężczyzna z zaciśniętymi w pięści dłońmi. Jego twarz o wyrazistych rysach, które dodatkowo uwydatniały krótko przycięte kruczoczarne włosy, była napięta, a jej mięśnie drgały nerwowo pod bladą skórą przy każdym oddechu.

Nieznajomy, który musiał być *złym panem* i sprawcą tego bałaganu, wydał mi się, owszem, groźny, ale nie przeraziło mnie to tak, jak można by się spodziewać. Uznałam, że musi być to bardzo dziwny sen, skoro ta nowa postać zdała się w moich oczach... piękna.

Hipnotyzująca. Tajemnicza. Pociągająca.

– Marlok – wycedził pan przez zaciśnięte zęby takim tonem, że po plecach przeszedł mi lodowaty dreszcz. – Jak śmiesz przyprowadzać do mnie swoją dziwkę? Nie pomyślałeś, że mogę być w tej chwili zajęty? – dodał zimno. Przechylił nieznacznie głowę i wwiercił spojrzenie w mojego *kompana*. Wpatrywał się w niego wyczekująco iście bazyliżkowym wzrokiem.

Czy ja wcześniej wyraziłam jakąkolwiek aprobatę dla tego *człowieka*? Cóż, pierwsze wrażenie bywa mylące.

Choć ta twarz...

– Królu Vincencie – zaczął niezrażony tym powitaniem Marlok, schyliwszy swą głowę pokornie, jak wcześniej robili to wobec niego wieśniacy na pogorzelsku. – Kazałeś, aby informować cię o wszystkim, na co natkniemy się w okolicy, a co szczególnie zwróci naszą uwagę. Zgodnie z rozkazem, mój królu, przywiodłem do ciebie tę, której o mało nie stratawałem w Lesie Pagitty.

Zapadła cisza. Nie ośmieliłam się odezwać, bo teraz to na mnie spoczęło chłodne spojrzenie władcy krainy, o której właśnie śniłam.

– W jednym z lasów należących do mnie, powiadasz, Marlok? Kim zatem jesteś, dziewczko, że ośmieliłaś się postawić stopę na moich terenach? – spytał powoli, starannie dobierając słowa.

Przełknęłam ślinę. Chyba w końcu nadszedł czas, żebym wyznała, co o tym wszystkim myśle.

– Jestem Kiara i nie uważam się za żadną dziewczkę, ani tym bardziej dziwkę. Nie wiem, jak znalazłam się w twoim lesie, ale na pewno świadomie nie ryzykowałamby spotkania z tobą. Kimkolwiek jesteś.

Moje słowa sprawiły, że Marlok, dotychczas spokojny, teraz wyraźnie się spiął, a król uniósł w zdziwieniu brew.

– Sługo, możesz odejść.

– Tak, panie.

Mężczyzna się skłonił, szybko opuścił namiot i zostawił mnie sam na sam z nieznanym.

Objęłam swoje ramiona, ponieważ miałam wrażenie, że temperatura spadła o kilka stopni. „Obudź się wreszcie, Kiara!” – krzyczałam w myślach, ale nic takiego nie następowało.

Tymczasem król założył ręce za plecami i zaczął się przechadzać po pobojuwisku, namyślając się nad czymś intensywnie.

– Zanim zginiesz, musisz wiedzieć, jak wiele niewybaczalnych błędów popełniłaś – powiedział, ale ta groźba mnie nie wystraszyła. Przecież śmierć oznaczała koniec tego dziwnego snu, prawda? A właśnie tego pragnęłam w tej chwili najbardziej.

– Po pierwsze: zapamiętaj sobie do końca swego marnego życia, że masz się do mnie zwracać per królu lub panie. Czy to dla ciebie jasne? – zapytał zimno. Nie zatrzymał się przy tym ani na mnie nie zerknął.

– Tak, *panie* – odparłam z lekkim przekąsem.

– Po drugie: z racji swojej pozycji to *ja* tutaj decyduję, kto jest kim, dziewczko. Czy i to zrozumiałaś?

– Tak, *panie* – powtórzyłam tym samym tonem co wcześniej.
– W takim razie najwyższy czas, abyś zgięła przede mną swe kolana! –
ryknął niespodziewanie król i odwrócił się gwałtownie w moją stronę.
Wycelował we mnie swój palec wskazujący, uniósł dumnie głowę, a potem...
A potem nic takiego się nie wydarzyło.



Rozdział 2.

W chacie więdźmy

– Mam teraz klęknąć, panie? – spytałam niepewnie, ale mężczyzna nie od razu odpowiedział. Ponownie machnął dłonią, a kiedy znowu nic się nie stało, spojrział na nią oszołomiony.

– To niemożliwe – wyszeptał, a potem zmarszczył brwi i gwałtownie wyrzucił rękę w górę. Wrzasnęłam wystraszona, gdy poły namiotu zaczęły nagle łopotać, jakby poruszane silnym wiatrem. Kiedy opuścił dłoń, wszystko ucichło.

– Pójdiesz ze mną w pewne miejsce. Natychmiast – zakomenderował, a gdy pstryknął palcami, jego ramiona okryła czarna peleryna, podobna do tej, którą miał na sobie Marlok. – Masz jakieś wierzchnie odzienie? Zerknęłam na swój dres.

– A to nie wystarczy?

– Nie – uciął krótko i pstryknął palcami po raz kolejny. W jego dłoni pojawił się czarny materiał, który rzucił mi niedbale. Zabolalo mnie to lekceważące traktowanie, ale nie dałam tego po sobie poznać. Zaciśnęłam wargi i okryłam się peleryną.

– Nałóż kaptur – zarządził król ostro.

Posłuchałam rozkazu, a kiedy byłam zajęta wiązaniem okrycia, nieoczekiwanie poczułam silny ucisk na swojej talii, a moje stopy oderwały się od ziemi.

– Hej, co ty wyprawiasz?! – krzyknęłam zaskoczona.

– Czyżbyś już zapomniała, jak masz się zwracać do władcy Magicznego Świata? – wycedził wyraźnie zniesmaczony mężczyzna. – Zabieram cię do Perpetuy. Pojedziemy konno.

Nie odważyłam się spytać, kim jest kobieta, o której wspomniał król, i pozwoliłam się wsadzić na konia po raz drugi tego dnia. Przypadło mi miejsce przed jeźdźcem. Siedziałam po damsku, ale nie bałam się, że spadnę, bo pan trzymał mnie mocno w swoim pewnym uścisku. Czułam się bezpiecznie. Chociaż przy tym człowieku nie powinnam myśleć tymi kategoriami.

Droga minęła jak z bicia strzeł. Koń szedł równo, a dzięki kapturowi pęd powietrza nie smagał mojej twarzy. Zatrzymaliśmy się i król postawił mnie na ziemi.

– Jesteśmy na miejscu – rzucił oschle. Rozejrzałam się po otoczeniu. Znajdowaliśmy się na skraju lasu, tuż przed małą chatką ze zbutwiełego drewna. Dach pokryto świeżą strzechą, ale daleka byłam od nazwania tego miejsca urokliwym.

Odwrociłam się. W oddali majaczyło miasteczko, nad którym górował potężny zamek ze smukłymi wieżami. Kontemplację krajobrazu przerwało mi skrzyknięcie drzwi.

– Widzę, że mam gości – odezwała się wychodząca z chatki miedziano-włosa staruszka.

– Witaj, babciu – powiedział król. Nieoczekiwanie dla mnie ukląkł przed kobietą na jedno kolano, by z szacunkiem pocałować ją w rękę.

Królewska rodzina w takim miejscu? Czy to nie dziwne, nawet jak na sen?

– Vincencie, kim jest twoja towarzyszką? – spytała nieśmiało staruszka, bacznie mi się przyglądając.

– Właśnie o tym chciałem porozmawiać.

– W takim razie zapraszam do środka – zaproponowała ciepło (cóż za przeciwieństwo wnuka!) i natychmiast zniknęła wewnątrz. Zerknęłam na władcę w oczekiwaniu na rozkazy, a on wskazał mi ręką drzwi.

– *Panie* przodem – powiedział niechętnie, ale zignorowałam to i minęłam go pewnym krokiem.

W środku chatka nie wyglądała wcale tak źle. Po przekroczeniu progu znalazłam się w małym pokoju urządzonej dość prosto, skromnie, ale schludnie.

– Proszę, siadajcie, rozgośćcie się – zachęcała staruszka, zajmując miejsce przy kominku na jednym z foteli. Drugi zajął król, a mnie przypa-
dło miejsce na kanapie naprzeciwko nich.

– Przejdźmy od razu do konkretów – rozpoczął Vincent. – Od momentu
gdy wspólnie rzuciliśmy zaklęcie, w moim skarbcu nie przybyło monet
ani mnie nie przybyło siły. Moi ludzie przez całą noc prowadzili poszukiwa-
nia, spalili nawet jedną z wiosek, której mieszkańcy odmówili wstępu
do swoich domów...

– I co? – wtrąciła w ekscytacji staruszka. Vincent spojrzał na nią ponuro.

– I nic! Wszystko jest jak zwykle, żadnych śladów działania magii.
Aż do dzisiejszego ranka. Spójrz tylko na nią, babciu.

Ich twarze natychmiast odwróciły się w moją stronę.

– Ekhm! – Odchrząknęłam. Zaczęło mnie trochę irytować, że w *moim*
śnie jestem postrzegana jak jakieś dziwadło. – Przepraszam, ale co jest
ze mną nie tak?

– Chociażby twój wygląd, kochanie. – Kobieta natychmiast udzieliła
mi odpowiedzi. – Dziewczęta *nie noszą* spodni.

Zerknęłam już po raz któryś na swój dres. No tak. To dlatego wie-
śniacy na pogorzeliśku przyglądali mi się z takim zainteresowaniem.

– To jeszcze nic. To *dziewczę*...

Ach, znowu ten ton!

– To dziewczę jest odporne na moją magię i najwyraźniej do momentu
spotkania ze mną nie wiedziało o moim istnieniu.

– To wszystko jest bardzo intrygujące – rzekła ostrożnie staruszka,
ale to nie powstrzymało złości króla.

– *Intrygujące?! Kobieto, ty nie masz chyba pojęcia, o czym mówisz!* –
ryknął i zerwał się z miejsca. Chodząc po pokoju, mówił dalej: – Poddani
się buntują, a moja matka nieustannie spiskuje, aby strącić mnie z tronu.
Nie mam teraz czasu na *intrygujące* pomyłki. Potrzebuję *natychmiast*
więcej mocy i pieniędzy.

– Vincencie, usiądź – poprosiła babcia króla, a on zacisnął zęby i jej
posłuchał. – To zaklęcie *nie* się nie myli. Pragnąłeś szczęścia i najwyraź-
niej dostałeś je pod taką postacią.

Spojrzałam z niedowierzaniem na Vincenta. Vincent spojrzał na mnie
z obrzydzeniem.

– Kiaro, zbudź się w końcu – mruknęłam do siebie.

– Co takiego powiedziałaś, skarbie? Że chcesz się obudzić, prawda?
– zaczęła dopytywać staruszka, a następnie spojrzała na swojego wnuka z miną obwieszczającą: „a nie mówiłam?”.

– I co z tego? – burknął król niechętnie i skrzyżował ręce na piersi.

– Vincencie, nie udawaj, że nie rozumiesz. *Ona* nie jest z *tego* świata! To zaklęcie sprawiło, że podczas każdego snu w jej krainie będzie przenosić się w nasze strony! A gdy u nas będzie śnić, wtedy jej życie toczyć się będzie w jej wymiarze. Jednak czas nie będzie w obu światach równoległy: jej popołudniowa drzemka może ją tu zatrzymać na dwa dni bez snu. Ta dziewczyna ma teraz dwa życia, a każde z nich może niestety zakończyć śmierć.

To ostatnie słowo, które padło z ust kobiety, odbiło się od gołych ścian chatki i rozbrzmiało echem.

– Czyli – zaczęłam nieśmiało zastanawiać się na głos – oznacza to, że jeżeli za chwilę zginę przesyta mieczem przez pani wnuka, będzie to oznaczało, że nigdy więcej nie powrócę we śnie do tego świata?

– Zgadza się – przytaknęła ochoczo staruszka, najwyraźniej ucieszona tym, że pojęłam jej słowa.

– W takim razie możemy się ciebie szybko i łatwo pozbyć – stwierdził z satysfakcją Vincent, a jego ręka powędrowała do tego miejsca u boku pasa, przy którym trzymał broń.

Ogarnął mnie chłód.

– Nie, wnuku. Źle zrobisz, jeśli to uczynisz.

– Ale będzie gorzej, jeżeli ktoś się dowie, że ona jest skutkiem naszego zaklęcia i jest odporna na magię! Nie wiadomo, w jaki sposób mogliby to wykorzystać moi przeciwnicy. – Król się denerwował, spoglądając na mnie gniewnie.

– Więc nie pozwól na to – ucięła Perpetua i podniosła się ze swojego miejsca. – Ukryj ją na zamku, uczynj ją jedną ze swoich sług lub powierz jej funkcję sprawowaną obecnie przez Alicję. Obojętne mi to. Jedno jest pewne: musicie już wracać.

Również wstałam i spojrzałam na pana w oczekiwaniu na jego rozkazy.

– Za mną – wycedził, ale zanim wyszedł, ucałował ze szacunkiem rękę swej babki. Sama ograniczyłam się jedynie do lekkiego skinienia głową. Jakoś nie mogłam jej wybaczyć tych ostatnich słów, które, jak podejrzewałam, wiązały się z zamknięciem mnie w jakimś lochu. Niespodziewanie, jakby odgadnąwszy moje myśli, kobieta uśmiechnęła się do mnie.

– Nie bój się, on cię nie skrzywdzi – powiedziała ciepłym głosem i położyła swoją dłoń na moim ramieniu, aby dodać mi otuchy. Przy okazji zauważyłam, że na jej ręce brakuje końcówek palców: opuszków i paznokci. Perpetua chyba zauważyła moje nagłe zakłopotanie i cofnęła szybko dłoń. Lekkim ruchem głowy wskazała drzwi.

Vincent stał już obok swojego wierzchowca i spoglądał na zamek w odległości, który z pewnością należał do niego.

– Podejź – zakomenderował, a ja niechętnie wykonałam polecenie. Niedbałym pociągnięciem nasunął mi kaptur czarnego płaszcza na głowę, a następnie zabrał się do krępowania moich rąk sznurem, którego koniec przyczepił do swojego siodła. Przelękałam się, gdy pomyślałam o tym, co za chwilę nastąpi.

– Przecież nie nadążę za tym koniem!

Vincent tylko uśmiechnął się pogardliwie na mój akt paniki.

– Pojadę wolno.

Pewnym ruchem dosiadł swojego rumaka i ruszyliśmy.

Mój król. Jak to śmiesznie brzmiało. Dotychczas rozkazywać mi i stanowić o obowiązującym mnie prawie mogli co najwyżej rodzice oraz posłowie wybierani przeze mnie w wyborach. Tymczasem znalazłam się w świecie, w którym władzę miał jeden człowiek i mógł ją narzucić każdemu. Na początek obrał sobie za cel poniżenie mnie, ale zacisnęłam zęby. Postanowiłam, że nie będę narzekać, nie dam mu tej satysfakcji.

Kierowaliśmy się w stronę zamku, tak jak się spodziewałam, a droga, którą zapewne celowo wybrał Vincent, usypana była drobnymi kamieniami, ale za to ostrymi kamieniami, boleśnie raniącymi moją skórę. Mimo że zgodnie z wcześniejszą obietnicą król prowadził konia chyba najwolniej, jak się dało, ból przy każdym kroku stawał się nie do zniesienia. Zerknęłam na swoje stopy i na broczącą z nich krew. Z trudem zmusiłam się do spojżenia przed siebie i zagryzając wargi, hamowałam łzy. W głębi duszy rodziła się we mnie coraz większa nienawiść do Vincenta, który jadąc przede mną, ani razu na mnie nie spojrział, nie odezwał się do mnie i generalnie zachowywał się tak, jakby prowadził za sobą... jeńca.

O tak. Jeniec. Zdobycz. To chyba najlepsze słowa, jakie opisywały moją sytuację. Stałam się zakładnikiem we własnym śnie z gatunku tych, po których mocno boli głowa i przez cały dzień nie możemy się otrząsnąć z dojmującego poczucia nieszczęścia.



Rozdział 3.

Królewski zamek

Otworzyłam oczy. Sufit. Przekreściłam głowę. Stolik nocny, mała lampka i pusty kubek po kawie. Szybko usiadłam na łóżku. Nie wierzyłam własnemu szczęściu. Najwidoczniej musiałam się obudzić!

– Co za koszmar – mruknęłam i zerknęłam na zegarek: szósta pięćdziesiąt dwie. Mój budzik miał zadzwonić dopiero o ósmej, ponieważ dziś zajęcia na uczelni zaczynałam później niż zwykle. Nie zdecydowałam się jednak na dłuższe wylegiwanie się i wstałam. Mimowolnie zerknęłam na swoje stopy: skóra na nich nie była rozcięta.

Chwyciłam się za głowę i schowałam ją między kolanami. Czułam się źle. Pamiętałam, co przed chwilą się wydarzyło. Każdy szczegół, każdą napotkaną osobę i widok pomieszczeń, które przyszło mi odwiedzić. Wszystko było niewiarygodnie realistyczne, jak w żadnym z moich dotychczasowych snów. A słowa tej kobiety o zakłęciu...

Pomyślałam sobie, że zwariowałam. Odbiło mi. Stałam się jedną z tych niepoczytalnych osób, o których słyszy się w telewizji. Pewnie niedługo stracę świadomość na tyle, że zapomnę, kim jestem.

– O nie, twoje niedoczekanie – powiedziałam znowu sama do siebie i powzięłam stanowczą decyzję: spróbuję zasnąć. Jeżeli tym razem nie przeniosę się do tamtej krainy, będzie to oznaczało, że jestem normalna.

Położyłam się i naciągnęłam kołdrę na głowę.

Przez długi czas się kręciłam, nie mogąc ułożyć się na swoim łóżku, a kiedy w końcu znalazłam wygodną pozycję, poczułam nieznośny ból w stopach. Otworzyłam oczy i zeszywniałam.

Leżałam na skraju drogi, którą Vincent prowadził swojego konia. Nie miałam już skrępowanych rąk, a moje stopy były owinięte jakimiś szmatami. Nie byłam jednak sama. Niedaleko mnie stał król, ale nie widział, jak się budzę. Był odwrócony do mnie plecami, a swoją prawą rękę zaciskał na szyi jakiegoś wieśniaka, którego trzymał kilka centymetrów nad ziemią.

– Zostaw go! – krzyknęłam, a ręce Vincenta się rozluźniły. Mężczyzna upadł i zaczął nerwowo nabierać głębokimi haustami powietrza.

– Coś ty powiedziała? – wycedził król, a jego wykrzywiona gniewem twarz zwróciła się w moją stronę.

Ups.

– Przepraszam, że ośmielałam się przerywać tobie, o wielki i gromowładny władco – zaczęłam trochę ironicznie, po czym dodałam stanowczo: – Nie chcę, aby temu człowiekowi stała się krzywda.

– Widział więcej, niż powinien – oznajmił mężczyzna stanowczo i zwrócił się w stronę przerażonego wieśniaka.

– Królu, ja nikomu nie powiem! Przysięgam! – Biedak klęknął, ale Vincent to zignorował. Pstryknął palcami, a twarz mężczyzny natychmiast zbladła. Jego oczy zamarły, usta zastygły w bezruchu i cicho osunął się na ziemię.

Z mojego gardła wydostał się głuchy jęk, więc szybko zakryłam dłonią usta. Łzy mimowolnie pojawiły się w kącikach moich oczu, a ciałem wstrząsnął dreszcz. Właśnie byłam świadkiem zabójstwa człowieka.

Vincent wyciągnął rękę przed siebie, a wtedy trup wieśniaka zapadł się pod ziemię.

– Coś ty narobił! – wykrztusiłam z siebie, ledwo opanowawszy dygot. Król zaszczycił mnie swoim pustym wzrokiem.

– Tak musiało się stać – stwierdził zimno.

– Że co?! Ty... ty... nie masz pojęcia, o czym mówisz! – krzyknęłam rozpaczliwie. – Żaden człowiek nie zasługuje na śmierć! Zwłaszcza gdy *błaga* na kolanach o życie! Nie masz moralnego *prawa*, aby zabijać!

– Jestem królem, przypominam ci o tym – odparł beznamiętnie.

Objęłam kolana rękoma i zacisnęłam powieki. Pragnęłam teraz usnąć i wrócić do swojego świata. Milion razy bardziej wolałam pójść na znienawidzone przeze mnie zajęcia z filozofii, niż być świadkiem takich scen.

– Krwawiłaś. Zemdlałaś. Opatrzyłem ci rany. Ten wieśniak to widział. Gdyby rozpowiedział o tym, że twoja krew jest czerwona, nie przeżyłabyś długo w tym świecie – wytłumaczył Vincent. Albo się przestyszałam, albo próbował mi wmówić, że przez kolor substancji płynącej w moich żyłach zginął człowiek.

Nie odpowiedziałam. Król najwyraźniej uznał, że udzielił mi satysfakcjonującego wyjaśnienia, i dodał:

– Jedźmy.

Tym razem nie musiałam iść pieszo. Vincent posadził mnie przed sobą na koniu. Czułam wstręt, gdy jego ręka mnie objęła i gdy podczas galopu nasze ciała ocierały się o siebie. Mężczyzna chyba zauważył tę niechęć i spiął konia, aby ten przyspieszył.

Po jakimś czasie wjechaliśmy do miasteczka okalającego królewski zamek. Z daleka wydawało mi się ono nieco mniejsze, ale gdy zagłębiliśmy się w labirynt wąskich uliczek, szybko straciłam i tak kiepską orientację w terenie. Zauważyłam, że ludzie, którzy kręcili się tu i ówdzie, na nasz widok szybko uskakiwali w bok i padali na kolana, prawdopodobnie zdjęci strachem przed swoim władcą. Przed chwilą miałam okazję podziwiać, jak wyglądają jego rządy. Może lepiej byłoby, abym została zabita? Nie musiałabym więcej oglądać takich obrazków.

Im bliżej zamku byliśmy, tym droga stawała się szersza, a domostwa po jej bokach większe i ładniej wykończone. W końcu pojawiły się także drzewa oraz inna roślinność na poboczu. Tylko czekałam, aż wśród tego przepychu dostrzegę palmy rodem z Hollywood i aleję odcisniętych rąk sławnych osób z Magicznego Świata.

Nie było mi jednak dane ich zobaczyć. Zamiast tego ulica uległa zwężeniu, gwałtownie skrzyliśmy i wjechaliśmy na zwodzony most. Po jego drugiej stronie wyrosła przed nami gigantyczna budowla, którą wcześniej widziałam tylko z oddali.

Królewski zamek.

Straże stojące po obu stronach drogi patrzyły na nas uważnie, a gdy rozpoznały konia Vincenta, zaszutowały kolejno, co wyglądało dla mnie dość zabawnie, bo skojarzyło mi się z falą robioną przez kibiców na trybunach. Szybko się jednak opanowałam, przypomniawszy sobie wydarzenia sprzed kilku chwil.

Koń wyhamował, gdy tylko znalazł się na dziedzińcu. Natychmiast pojawiło się przy nas dwóch ludzi w czarnych płaszczach, a także chłopak w koszuli tego samego koloru. Wszyscy skłonili się głęboko, gdy król zeskoczył z konia.

– Zawołaj mi Mattiasa. Teraz – zakomenderował.

– Tak, panie – odparło szybko dwóch mężczyzn. Okryli swoje głowy kapturami, po czym oddalili się prędko, a Vincent zwrócił się do jednego z nowo przybyłych:

– Uszykuj dla mnie Błyskawicę. Wracam do Lasu Pagitty. Grom niech odpocznie, wyczesz go dobrze oraz nakarm – rzucił zwięźle, a potem nagle chwycił mnie w pasie i postawił na ziemi. Chłopak szybko złapał za lejce i oddalił się razem z koniem.

– Nie mamy dużo czasu – zwrócił się do mnie król. – Mam inne zajęcia niż niańczenie cię, dlatego zajmie się tobą mój kuzyn, Mattias. Jeżeli chcesz tutaj przeżyć...

– Nie chcę – rzuciłam szybko, ale Vincent mnie zignorował.

– ...to musisz pamiętać o kilku prostych zasadach. Pierwsza: nie zrań się. *Nikt* nie może się dowiedzieć, jakiego koloru jest twoja krew. Po drugie: nie mów o swoim prawdziwym pochodzeniu. Nie ufaj nikomu poza mną i Mattiasem. Nie buntuj się, bo źle się to dla ciebie skończy. Wieczorem wydam co do ciebie szczegółowe rozporządzenia. Radzę się do nich stosować.

Po tych słowach Vincent odwrócił się na pięcie i odszedł jak gdyby nigdy nic. Dotarło do mnie, że po raz pierwszy zostałam sama. Rozejrzałam się. Nigdzie żywej duszy. Żaden obcy człowiek nie próbował mnie wsadzić na konia, nikt mnie nie ciągnął w kolejne nieznanne mi miejsce. Na wybrukowanym dziedzińcu znajdowała się fontanna, wokół niej w donicach ktoś zasadził różnego rodzaju kwiaty, których nazw nie mogłam przywołać z pamięci. Dostrzegłam między nimi ławeczkę i zdecydowałam się na niej usiąść. Woda przyjemnie szumiała, a słońce mocno przygrzewało mimo wczesnej pory.

Byłam ciekawa, dlaczego nikt mnie nie pilnował. Przecież to królewski zamek! A gdybym była jakimś płatnym mordercą czy Kubą Rozpruwaczem i chciała się tu zacząć na Vincenta? Kto by mnie powstrzymał?

Odpowiedź poznałam, gdy skierowałam swój wzrok na mury. Nie zdążyłam jednak zrobić nic więcej, jak drgnąć z zaskoczenia, ponieważ usłyszałam niski, zachrypnięty męski głos.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

NIESZABLONOWA, FANTASTYCZNA I OKRASZONA MAGIĄ – TO NIE JEST LOVE STORY, JAKIEJ SIĘ SPODZIEWASZ

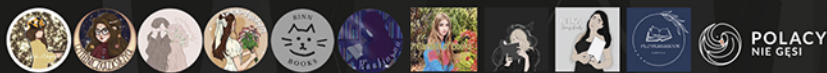
Witaj w świecie dworskich intryg, walk o wpływy i... namiętności. Kiara, studentka trzeciego roku historii, wiodła całkiem zwyczajne życie. Do momentu, aż pewnego wieczoru zasnęła we własnym łóżku, a obudziła się... w lesie, otulona nie własną kołdrą, lecz jasnymi promieniami słońca. Początkowo myślała, że dalej śni. Jednak już po chwili, gdy została niemal stratowana przez jeźdźca, była pewna, że to nie sen. Przerażona, stanęła oko w oko z najprawdziwszym rycerzem...

Jaka przyszłość czeka dziewczynę w tej tajemniczej krainie? I co sprawiło, że obudziła się w tym przedziwnym miejscu?

Potężny czarnoksiężnik imieniem Vincent, władający czarną magią, rzucił zaklęcie, które miało mu przynieść szczęście. Czy to on sprawił, że Kiara obudziła się zdezorientowana na leśnej ściółce? I co dalej? Czy nowe miejsce przyniesie dziewczynie szczęście? Może dziwnie ubrana nieznajoma ostatecznie doprowadzi Vincenta do władzy i bogactwa? Przecież na tym właśnie polega szczęście, czyż nie?

Jeżeli myślisz, że **Czarny Kapturek** ma schematyczną fabułę, że jest zwyczajną historią o miłości, to... cóż, czeka Cię zaskoczenie.

Patroni medialni:



beya 16+
beya.pl

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-289-1168-0



9 788328 911680

ceną: 49,90 zł